

SŁONECZNIKI

*Słoneczniku, słoneczniku, żółty i zielony
Tyś najpiękniejszy kwiat mój wymarzony
O tobie smukłym i wdzięcznym każdy dziś marzy
Uwielbiam ten uśmiech na twojej jasnej twarzy.*

Piosenka dla dzieci

Terrorystce powiodło się, chociaż sama nie dożyła chwili, by się o tym przekonać. Wyrok wykonano szybko, zgodnie z prawem międzynarodowym, metodą, którą sama sobie wybrała. Przynajmniej tyle Stannis wyczytał ze standardowych sieci informacyjnych.

Trzy lata i dwa miesiące po ataku terrorystki Stannis wsiadł na frachtowiec w mrocznym, zimnym północnoeuropejskim miasteczku przemysłowym. Przedtem, w przeciągu kilku miesięcy, które upłynęły od chwili śmierci żony i córki na skutek przedawkowania percepcji czasu, okrążał niespokojnie swój cel.

Oczekiwał na wejście na pokład, podczas gdy strugi deszczu bębniły o burzę, omiatając szarą zatokę, moczając jego i najprawdopodobniej jedynych poza nim pasażerów: młodą parę tonącą w objęciach i adoracji — wybierali się w krótką romantyczną podróż, bądź nie byli dostatecznie majętni, by pozwolić sobie na bardziej wytworny środek lokomocji. Monstrualne szare fabryki okalające port pobrzękiwały i dławiły się dymem. Pomimo tego, co mu się przytrafiło, Stannis nadal uważał za obsceniczny albo zwyczajnie absurdalny fakt, że narody obierały tę właśnie drogę gospodarczą, podczas gdy inne opcje były na wyciągnięcie ręki.

Zadrzał, gdy strużki deszczu przesączyły się przez jego cienki płaszcz i poczuł się z jednej strony nie przygotowany, z drugiej zaś przerażony tym, co zaplanował. Zmusił się do odwiedzenia wspaniałych muzeów w Londynie, Paryżu i Wiedniu, szukając ukojenia, które nigdy nie nadeszło. Możliwe, że wycieczka po muzeach, jaką zaplanowali przed śmiercią Annais, nie była najlepszym pomysłem.

Ale rzecz jasna jego prawdziwy zamiśl był od początku zgoła inny.

Zaledwie przed kwadransem zdał sobie sprawę, że oszukuje samego siebie co do prawdziwego celu tej wyprawy. Zrozumiał to w chwili, gdy podsłuchał, jak mężczyzna w budce za nim wspominał komuś, że „Gulden” wyrusza do Amsterdamu.

Amsterdam. Miasto, od którego stronił. Miasto, w którym — z przerażeniem zdał sobie z tego sprawę — mógł znaleźć to, czego pożywał ponad życie: zrozumienie.

Wciąż się wahał, popijając mocną czarną kawę, siedząc w oknie kawiarni po drugiej stronie placu, naprzeciw ogromnego statku. Patrzył na żurawie ładujące masywne, naoliwione, obrabiane maszynowo metalowe elementy i obmyte deszczem drewniane skrzynie. Lakier na blacie był ciemny, obok jego prawej dłoni na pokrytej brudem powierzchni ktoś wyskrobał słowo „Dag”. W chwili gdy dźwigowy zaciągnął hamulec i zeskoczył ze swojego wysokiego siedziska, Stannis chwycił płaszcz i puścił się biegiem przez plac w kierunku trapu.

Kiedy podbiegł do statku, młoda kobieta w sztywnym uniformie, na który miała narzucony zgrabny płaszcz przeciwdeszczowy, poinformowała go, że podróż do Amsterdamu wyniesie 97 eurodolarów, zaś młoda para roześmiała się i weszła na pokład.

Pod jej czarnym, karaluchowatym kapelusikiem w bladym szarym świetle zalśniła króciutka

grzywka prostych, rudych włosów. Stannis rozpiął kieszonkę koszuli i wyciągnął portfel. Pole „P” było jasno oświetlone, tak jak wymagało tego prawo, ale obserwował bez słowa protestu, jak tamta dotyka nie tego, co trzeba, i pojawia się wizerunek małej dziewczynki i kobiety. Twarz jej stężała, po czym zamruła oczyma, posłała mu długie spojrzenie i otarła z twarzy deszcz ściekający z kapelusza. Z płonącymi policzkami powiedziała: „Przepraszam” i zajęła się jego paszportem, po czym przelała pieniądze z jego konta na konto „Guldena”, co potwierdził odciskiem kciuka.

— Kabina numer 9 — oznajmiła nieco zniekształconą angielszczyzną. Podała mu klucz–kartę i pokazała kierunek nieznacznym ruchem głowy. Ze strachu zaczął szybciej oddychać, ale przypomniał sobie, że zawsze może zmienić zdanie. W ramach ćwiczenia w opanowaniu zdecydował się nie biec metalowym przejściem. Stawiał kroki w swoich ciężkich butach z rozmysłem. Niegdyś metalowe nity pomalowane były na czerwono. Reling pod prawą dłoń był zimny i mokry. Rzucił ostatnie spojrzenie ku niewielkiemu przemysłowemu miasteczku; teraz, gdy w Europie zdelegalizowano nano, jej staromodne huty jeszcze raz ruszyły z produkcją. Gęsty, czarny dym wylewał się z wysokich kominów, o kilka odcieni ciemniejszych od pochmurnego nieba. Żył tu na butelkowanej wodzie i innych destylowanych płynach, czasem pozwalając sobie na smażoną rybę.

Zimne powietrze wypełniło mu płuca cierpkim smakiem węglowego pyłu. Pomimo niedorzecznego, dziecinnego zanieczyszczenia, wszystko tu było takie bezpośrednie, ból w jego sercu odbił się echem w tej lokalnej porażce technologii, której niegdyś był zagorzałym wyznawcą. Jako inżynier wciąż doceniał jej możliwości, ale różnica polegała na tym, że teraz zrozumiał, iż każda zmiana zawiera w sobie całe spektrum możliwości, a nie tylko jedną — tę pozytywną, jasną.

Opanowanie okazało się wątłe. Oczy wypełniły mu łzy, gwałtownie skrzywił w lewo, pomęczył się chwilę z kluczem–kartą, po czym wszedł do kabiny. Czarny blask pamięci rozkwitł, jej niedostrzegalnie drobne struny wiły się niczym węże w jego umyśle, jak guz, którego nie sposób usunąć, nie usuwając przy tym samego siebie. A dlaczego by nie? Czemu by się nie usunąć?

Ale z drugiej strony po co?

Stannis wciąż doskonale pamiętał terrorystkę: wysoka, ubrana w obcisłą, niebieską jedwabną sukienkę, odznaczającą się niezwykle prostotą. Krótkie, czarne włosy.

Tamtego dnia, przed trzema laty, restauracja była pełna, a niedzielny wczesny obiad upływał tak gładko, jak to tylko możliwe w towarzystwie siedzącej przy stole trzylatki. Miła dla ucha kakofonia dźwięczących sreber oraz setek rozmów dryfowała ku wysokiej, białej kopule sufitu.

Słońce ledwie zdążyło wyrzeć na posrebrzone wiosennym deszczem waszyngtońskie niebo. Po raz dziesiąty usadził Claire na wysokim krzeselku i pomyślał, że to Annais powinna zająć się pilnowaniem małej. Ale ona gawędziła z Julie — swoją starą przyjaciółką ze szkoły. Dziwne, jak odmiennie potoczyły się ich losy po zrobieniu licencjatów ze wstępu do inżynierii genetycznej. Po dziesięciu latach Annais była fizykiem strun, a Julie archiwizowała światową sztukę w SR, stojąc na czele Smithsonianowskiego zespołu. Annais miała długie blond włosy, które ładnie kontrastowały z jej lśniąca, luźną, czarną koszulą.

— To wspaniałe — mówiła Julie. — Teraz cały świat będzie miał dużo łatwiejszy dostęp do sztuki. Tylko pomyśl, będziesz mogła wziąć rzeźbę w ramiona, dotknąć każdego zagłębienia, pojąć ją bardziej przestrzennie. W prawdziwym muzeum to nie do pomyślenia.

— Doszły mnie słuchy, że pracują nad czymś znacznie lepszym — powiedziała Annais. — Czy nie mają w planach nanoreprodukcji?

Stannis uśmiechnął się do ulotnego obrazu w swoich myślach, sprowokowanego przez to, co mogła mieć na myśli Annais; wyobraził sobie, jak podchodzi ona do stojaka pełnego białych

kopert, przypominających torebeczki z nasionami w staromodnym sklepie z artykułami ogrodniczymi, tyle tylko, że te znajdowałyby się na stojaku w muzealnym sklepiku, pełne nanotechnologicznych nasionek gotowych do replikowania dzieł sztuki. Wybrałyby ich mnóstwo, zabrała do domu i zapewne przyrządziła w wannie napełnionej płynem stanowiącym pokarm dla replikatorów.

Julie wzdrygnęła się i odparła:

— Może za kilka lat. Z tego co wiem, mówi się o roku 2030 jako dacie docelowej, ale mam nadzieję, że tak nie będzie. Wiesz, jaki mam stosunek do nano.

I do inżynierii genetycznej, co było dosyć dziwne. Jej starcie z możliwościami genetyki zupełnie ją przeraziło. Całe miesiące boczyła się na Annais i Stannisa za to, że zdecydowali się na genetyczne ulepszenie Claire in utero za pomocą tak zwanych „utalentowanych fragmentów”.

— Moi rodzice zrobili tak ze mną — Annais oznajmiła Julie, zaskoczona jej reakcją. — Stannis też to przeszedł, Julie, więc czemu nie? To nie szkodzi, a w większości przypadków różnica pomiędzy nami a innymi jest praktycznie nie do wychwycenia. — Annais roześmiała się. — Stannis i ja możemy za to ręczyć. Właściwie oboje jesteśmy całkiem normalni, nie uważasz?

— Oczywiście, że nie — chłodno odparła Julie. Ale więzy pomiędzy Julie i Annais były na tyle silne, że w końcu się pogodziły. Historia sztuki była wielkim hobby Annais, toteż miały o czym rozmawiać.

Claire zaczęła odczytywać menu na głos:

— Kaa-wioo-rrrrr. Co to takiego? Naleśniki. Zamówiłam naleśniki. Kiedy mi je przyniosą?

Annais zerknęła na Stannisa i powiedziała do Claire:

— Uspokój się.

Claire cisnęła łyżkę na stół i roześmiała się, gdy ta z brzękiem uderzyła o niepełny kieliszek szampana, należący do jej matki. Annais chwyciła przechylające się naczynie i oznajmiła:

— Claire, dzisiaj już żadnych łyżek nie dostaniesz.

Claire rzuciła jej wściekle spojrzenie i przekręcając się, zsunęła z krzeselka. Stannis posadził ją sobie na kolanach i mruczał wraz z fortepianem, na którym wygrywano „Nice Work If You Can Get It”. Claire zaczęła się kręcić:

— Muszę iść do łazienki — oznajmiła.

— Ja też — stwierdziła Annais. Odsunęła krzesło, podczas gdy Claire rzuciła się biegiem wokół stołu, po czym wzięły się za ręce.

Zaledwie trzy stoliki dalej, w jasnej jadalni, łukowate szklane drzwi otwierały się na przestronny balkon pełen mokrych, pustych stolików. Stannis patrzył na światło, delektując się posmakiem wody w chłodnym, wiosennym powietrzu, kiedy kobieta w niebieskiej sukience pojawiła się w drzwiach tuż obok Annais i Claire, idących przez salę. Pierwszą myślą Stannisa było to, że kobieta wygląda dość wdzięcznie. Uniosła ramię i krzyknęła:

— To w imieniu Republiki Nowego Hongkongu! Mamy dosyć bycia waszym eksperymentalnym wysypiskiem śmieci! Zobaczymy, jak wam się to spodoba!

Fortepian stopniowo ucichł. Rozmowy ustały. Jakiś mężczyzna miał na tyle przytomności umysłu i odwagi, by rzucić się w jej kierunku, ale nim ją dopadł, wyrzuciła w powietrze paczuszkę, która otworzyła się, uwalniając chmurę słodkawego aromatu. Tak, poczuł go. Więc dlaczego...? Dlaczego, zastanawiał się Stannis, leżąc na koi kołyszącego się statku. Dlaczego one, dlaczego nie ja razem z nimi?

Stannis poderwał się, odepchnął na boki stoliki i krzesła dzielące go od rodziny. Chwycił Claire, zatykając jej dłonią usta i nos. Nie oddychając popędził ku drzwiom, wiedząc, że Annais i Julie są tuż obok niego, na samym czele rozpedzonego tłumu. Kiedy zbiegali po schodach, Claire próbowała się wyrwać i ugryzła go w rękę. Nie pozwolił jej złapać oddechu, dopóki nie znaleźli

się po drugiej stronie ulicy, tam chwyciła powietrze, krztusiła się i krzyczała. Twarz Annais była mokra od łez. Julie pobladła. W milczeniu udali się do ich mieszkania na M Street, Julie poszła z nimi. Byli zszokowani, prócz Claire, która biegła przodem, szczęśliwa, że uwolniła się z krzeselka. Młode liście pokryły drzewa niczym krople rosy i szeleściły, poruszane lekkimi podmuchami wiatru. Rosły tam też kwiaty, które Stannis zawsze będzie pamiętał — różowe wiosenne maki wokół pnia każdego z drzew. Promienie słońca przeświecały przez cieniutki, przezroczyście płatki, a przy tym tworzyły ogniste refleksy na jasnobrązowych włosach Claire.

Nikt nie zakłócał Stannisowi podróży, a on sam nie opuścił kabiny. Po dwudziestu czterech godzinach rozkołysane Morze Północne uspokoiło się. Usłyszał pukanie do drzwi, otworzył je, a rudowłosa kobieta przez chwilę przypatrywała mu się z zaciekawieniem, po czym rzuciła: „Amsterdam” i pospiesznie odeszła.

Wbrew sobie poczuł się lepiej, gdy po jej odejściu słońce wlało się do środka przez otwarte drzwi. Czuł się wydrażony i osłabiony, pocierał świeży zarost na twarzy i spoglądał na ruchliwe miasto. Widział niewielkie figurki stojące na olbrzymim pomoście, czarne na tle nieba. Szprychy rowerów migotały, kiedy grupki rowerzystów manewrowały wśród pieszych i mijały stoliki pod parasolami, pod którymi siedzieli popijający to i owo ludzie. Obszar chłodnej, intensywnie zielonej wody zawężał się nieubłaganie. W miarę jak łódź podpływała coraz bliżej, uszy wypełnił mu ryk silników, a przez pokład przebiegły silne wibracje.

Stannis zauważył, lekko zaszokowany, że przystań roi się od holografików, wchodzących jeden drugiemu w wiązkę, podskakujących i tańczących z nieskrywaną, nieposkromioną radością. Czarnorynkowe nanomodyfikacje ich genów wzmocniły im fale mózgowe, nieuniknionym kosztem innych funkcji. Po długim okresie intensywnych bioreakcji nabywali nową umiejętność. W Stanach było to całkowicie legalne, wykorzystywane w terapii, choć lżejsze i ograniczone czasowo — przynajmniej tak go poinformowano.

Wypróbował to. Uważał, że jest do niczego. Terapia czasowa nie pomogła mu. Ale tak jak w wypadku większości nano, kwestia była nie do rozstrzygnięcia: nano spadło na ludzkość jak grom z jasnego nieba, równie nagle, jak druk wiele stuleci wcześniej, przekształcając ją na zawsze. Tak przynajmniej sądził. Nie ma już odwrotu. Nieodwołalne jak sama śmierć.

Załoga zabezpieczyła łódź. Obserwując rozradowanych holografików, Stannis poczuł się nagle całkiem pusty. Przerazająco pusty. Chimeryczne stworzenia migotały przez chwilę w powietrzu, by zniknąć jak drzwi do innych wszechświatów — był na celowniku strzelby, wodosпад zapienił się przelotnie na mokrych głazach, kobieta siedziała obok leżącego w łóżeczku dziecka, czytając książkę.

Z tego co wiedział, podobnych pokazów zakazywano i obawiano się w Europie, jak każdego nano, ale przypuszczał, że w tym gościnnym mieście istniało pewne ciche przyzwolenie. Jakie były jego własne wizje, w tamtym małym, białym sześciennej pokoju terapeutycznym? Wyświetlał sztukę — w przeważającej części dzieła, jakie wraz z Annais oglądali w National Gallery. Jego terapeuta był zrozpaczony:

— To są zasłony dymne! Nawet przed samym sobą skrywasz swoje prawdziwe uczucia.

A kto by nie skrywał, pomyślał. Czy to coś złego? Skoro tak, to czy nie powinieneś z tym czegoś zrobić? Nie, powiedziano mu, wszystko zależy wyłącznie od niego. Wielkie dzięki.

Stannis przeczytał pobieżnie tabliczkę w dziesięciu językach, informującą, że miejscowe konsorcjum muzealne nasyciło powietrze nad nabrzeżem promieniami polaryzującymi, co sprawiało, że projekcje były jeszcze intensywniejsze. Zawahał się, po czym wzruszył ramionami. Było to niepokojące, przypominało mu o kolejnej jego porażce, ale przynajmniej jego własna zdolność do wyświetlania holo wygasła. Musiał przejść przez nabrzeże. Wziął się w garść i zszedł po pobrzękującej rampie.

Zignorował holografików oraz ich uśmiechnięte, zidiociałe twarze, przedzierając się przez plac i mnogość wizji, i wówczas niespodziewanie natknął się na słonecznik.

Wątła, zielona łodyga była wysmukła i pokryta czymś, co przypominało milion drobnutkich włosków. Cudowne żółte płatki tworzyły prześliczny wachlarz wokół znajdującej się na wysokości głowy Stannisa tarczy pełnej tysięcy ziarenek. Rozejrzał się dookoła, ale w pobliżu nikogo nie było. Zdał sobie sprawę, że to jego własna projekcja.

Poczuł się kompletnie zagubiony. Wszystko inne wokół wyglądało wspaniale, plamy falujących kolorów bez wyraźnie zaznaczonych granic. Piosenka, którą jego córeczka zwykła śpiewać w domu tuż przed śmiercią zjawiała się całkiem nieproszona. Słoneczniki nie mają twarzy, drażnił się z nią, ale ten niespodziewanie miał. Zamiast wielkiego, wpatrującego się weń ziarnistego oka, ujrzał Claire, z perkatym noskiem i błękitnymi oczyma.

Stannis rzucił się przez projekcje ku wąskim, wiekowym uliczkom. Zdawało się, że budynki pochylają się nad nim, jak gdyby były szersze u góry niż u dołu. Małe elektryczne samochody mijają go powoli, z mozołem przeciskając się obok siebie. Był spocony, skreślił w drzwi, nad którymi widniał napis: „Pokoje.”

Mikroskopijny hol wyłożony był ciemnozielonym dywanem, od którego wionęło stęchlizną. Recepcjonista wyglądał bardzo staro. Mówił perfekcyjną angielszczyzną i podał Stannisowi ciężki, staromodny klucz. Stannis ruszył na górę trzeszczącymi schodami.

Okno pokoju wychodziło na ulicę, szeroką na jakieś trzy metry. Otworzył je i do środka wtargnął powiew nieprzyjemnie chłodnego, wilgotnego powietrza. Niebo zachmurzyło się — brzydka pogoda zjawiała się widać razem z nim. Usiadł ciężko na jedynym, podniszczonym krześle i zapatrzył się na ceglana ścianę budynku po drugiej stronie ulicy.

Claire nie żyła. Annais nie żyła. Miesiące i lata stapały się w jedno, a czas unosił go coraz dalej od tamtego jasnego, świetlistego, niemożliwego momentu. Obie już nie żyły, kiedy tamtego popołudnia wrócił do domu. Leżały spokojne, blade i uśmiechnięte na wielkim łóżu, które dzielił z Annais przez dziesięć lat. Annais nabazgrała krótką notatkę: „Przepraszam — piękne — nie można przestać”. Przyczyna zgonu: „Infowirus sprzężony ze schematami ulepszeń genetycznych. Przeciążenie synaps”. Wiedziały za dużo i myślały za szybko. Widziały możliwości rozkwitające wokół nich, omywające je bólem i światłością. Stannis był tego świadkiem. Nie do końca wiedział, co się działo — skąd mógł to wiedzieć? Nie miał pojęcia, jak to się skończy.

Wstał i zamknął okno. Zrobiło się zimno. Zaciągnął zasłony. Kiedy się odwrócił, dostrzegł na nocnym stoliku kilka turystycznych broszur. Pokój był tak tani, że nie było nawet telewizora, a co dopiero mówić o małym zestawie HoloVideo, który w wielu hotelach automatycznie uruchamiał przegląd miejscowych atrakcji w chwili, kiedy gość wchodził do pokoju.

Podniósł je i przewertował od niechcienia. Eleganckie przejażdżki rzeczonym statkiem wycieczkowym. Ocienione drzewami kanały. Muzeum van Gogha. No cóż, naoglądał się już sztuki, nieprawdaż? Prawdziwej sztuki, jakiej pragnęła Annais, na co nigdy nie mieli czasu. Nigdy. Palił go gniew. Bez wątpienia ona wiedziała, jak wyglądałaby ich wspólna podróż do Europy, we trójkę, zwiedzanie statycznych wystaw, które Julie przerabiała na wystawy wirtualne. Prawdopodobnie wiedziała i tę ewentualność

— śmierć swoją i Claire, jego samotną podróż. Jego ból. A może istniały pewne rodzaje ślepoty? Może tego w ogóle nie widziała w niezmiernym gąszczu możliwości? Musiał w to wierzyć. Nie wiedział, czy dopadło to Julie, przyjaciółkę Annais. Tydzień po ataku opuściła miasto i wróciła do gospodarstwa swoich rodziców gdzieś w górnej części stanu Nowy Jork.

Stannis przewrócił następną stronę. Holotancerze na nabrzeżu. No właśnie, pomyślał, pozwalając ulotce opaść na podłogę. Jak najlepiej wykorzystać dziwactwo. Na wspomnienie słonecznika wstrząsnął nim dreszcz. Widocznie jego umiejętność jeszcze nie uległa zanikowi.

Cóż, to twoja szansa, powiedział sobie. Twoja szansa, by się dowiedzieć, by rozwiązać wszelkie wątpliwości. Twoja szansa na to, żeby być z nimi w ten ostatni, szczególny sposób. Dowiedzieć się, co tak naprawdę im się przytrafiło. Zrób to albo wracaj do swojej małej niszy i marniej przez resztę życia ze świadomością, że stchórzyłeś.

Wetknął klucz do kieszeni i pomaszerował ulicą.

Wszędzie pełno było ludzi biznesu i przechadzających się turystów. Małe kafejki ciągnęły się wzdłuż ulicy, a wilgotne powietrze przesycone było aromatem świeżej kawy i chleba. Każdy zdawał się tu być wyjątkowo dobrze ubrany, jak zdążył zauważyć, we wszechobecnym eurostylu. Proste linie i ostre kąty, stłumione kolory. Tutaj wszystko było nadal bardzo kosztowne

— im to odpowiadało. Konsumenci nie byli w stanie wyobrazić sobie, co chcieliby nosić, naszkicować to na ekranie, dopasować szczegóły, przymierzyć holograficznie i wykonać tanio i tylko dla siebie za pomocą nano. W ten sposób można było nabyć ubrania w Azji, oddzielonej od Europy mikroskopijną strefą wolną od nano, obszarem szerokości jakichś stu sześćdziesięciu kilometrów.

Oczywiście, to nie mogło trwać wiecznie; jeśli myśleli inaczej, byli idiotami. Niemniej jednak nano było tu zdecydowanie niemiłe widziane, podobnie jak on sam przez cały rok po wygaśnięciu jego nanów terapeutycznych, z tym, że jego paszport został sfalszowany. Dość osobliwa sprawa, myślał sobie przemierzając kolejne uliczki, ale to nie strach przed niekontrolowaną replikacją nano był powodem wzniesienia zapory, wcale nie. Płaszczyzna porozumienia — związki zawodowe, megakorporacje, cała struktura rządowa; oni zakazali dalszych prac nad nano i inżynierią genetyczną. Establishment próbował powstrzymać nieuniknione przewroty społeczne, towarzyszące wszelkim zmianom paradygmatu, takim jak rewolucja przemysłowa. Starali się nie tracić pieniędzy, usiłowali zachować kontrolę.

Ale czyż wszystkie te zmiany nie miały prowadzić ku lepszemu? A przynajmniej ku czemuś innemu. Stannis zawsze wierzył, że należy pokładać nadzieję w ludzkości, w jej ślepych podrygach, tak ślepych, jak zauroczenie młodej gąsienicy światłem, przyciągającym ją ku krańcom gałęzi, gdzie rosną jadalne listki, co Rousseau określił mianem okresów wrażliwych. Kiedy Claire otrzymała swój bardziej utalentowany fragment, lekarz powiedział im, że wszystkie dzieci przechodzą przez okresy wrażliwe w przypadku każdej rzeczy, której się uczą — języka, matematyki, umiejętności przestrzennych — kiedy pociągają je pewne typy informacji, które praktycznie wchłaniają. A teraz jej okresy wrażliwe będą intensywniejsze. Lekarz zdecydowanie nie pomylił się.

Stannis odwrócił wzrok od swego nieszczęsnego odbicia w pełnym dziwnych ciuchów oknie wystawowym i poszedł dalej. Czy ludzkość weszła w kolejny okres wrażliwy, zastanawiał się. Czy przyciągało ją nowe światło, zmieniające świadomość, zmieniające sposoby postrzegania rzeczy? Nowy rodzaj myślenia, nowy sposób rozumienia czasu, który został bezlitośnie i śmiertelnie ulepszony w przypadku Claire i Annais? Stannis potknął się o krawężnik, z trudem złapał równowagę. Jego kroki odbijały się głuchym echem, gdy szedł po niewielkim mostku przerzuconym nad przejrzystym, zielonym kanałem.

Annais miała taką niezłomną pewność co do tego światła, przypominał sobie. Zmuszał się do myślenia o tym, co było dla niego najbardziej bolesne, przechodząc obok składu win, potem sklepiku z mapami. Poświęciła temu całe swoje życie, a potem poszła za tym światłem aż na sam próg śmierci.

Tylko że... — pomyślał — może wierzyła, że świadomość będzie trwać w samym punkcie owego progu, że ulegnie rozszerzeniu; że ludzie staną się wszystkowiedzący i inteligentni, tak aby ona i Claire mogły trwać wiecznie, unosząc się nad horyzontem zdarzeń umysłu.

Czy trwały?

Mijało właśnie południe. Z wysiłkiem oparł się o ceglany front sklepu i wyjął swój portfel, łudząc się, że nazwa, którą zakodował wewnątrz jednego ze swoich osobistych plików została utracona, podobnie jak dokładny kod wirusa, który ulepszył Annais i Claire. Kod wydobyl z plików rządowych, do których dotarł bez problemu.

Nano, zgodnie z założeniami, przemieściły się do części mózgu odpowiedzialnej za poczucie czasu. Pewnej późnej deszczowej nocy wyczytał na ekranie, nie przejmując się ani trochę tym, czy zostanie złapany poza barierą kodowania, że ten szczególny szczep został wyhodowany w ramach programu Wojen Informacyjnych. Było to jedno z wielu dzieł sekcji odpowiedzialnej za opracowanie strategii najskuteczniejszego doprowadzania ludzi do szaleństwa za pomocą specyficznych sposobów sztucznie bardzo ulepszających pewne aspekty funkcjonowania mózgu. Na przykład tworząc na nowo warunki synaptyczne ułatwiające dzieciom uczenie się języków. Tego typu rzeczy.

Miał parametry. Nacisnął ostatni klawisz i oto pojawiły się, jaśniejac na malutkim ekraniku.

W Amsterdamie mieszkali ludzie, którzy robili i sprzedawali podobne rzeczy. Tutaj były one legalne, tak jak wiele innych substancji nielegalnych gdzie indziej, ale zazwyczaj kontakt następował przez jakiegoś łącznika, przy czym dokładnie sprawdzano kupującego, jako że sprzedawcy byli oczywistym celem ataków międzynarodowych ugrupowań terrorystycznych. Stannis posiadał nazwisko odpowiedniego człowieka. Hansa Utrechta.

Gwałtownie wyłączył portfel i włożył go do kieszeni. Chociaż było chłodno, zorientował się, że się spocił. Był osłabiony. Kiedy ostatni raz jadłeś, skarcił sam siebie i opadł na ławkę. Czy powinien próbować odnaleźć Hansa?

Walczył z tym impulsem przez, jak się zdawało, długi czas, po czym poddał się i pojechał do Europy, znów przybliżył się do tego. Poczucie winy ocalonego, powiedział mu terapeuta — czy naprawdę było to aż takie proste? Dłonie miał zimne i wilgotne. Luwr był najgorszy, pełen skarbów, które ona zawsze pragnęła ujrzeć na żywo. Kiedy już Claire podrośnie i będzie w stanie to docenić. A on wtedy rozmyślił się — gdzie się wówczas znajdował? W Norwegii? Finlandii? Miał to gdzieś. Łzy paliły mu oczy. Tak bardzo za nimi tęsknił! To nie było w porządku, ani trochę. Co tak naprawdę im się przydarzyło? Jak mogły go tak po prostu zostawić? Jak Annais mogła podjąć taką decyzję? I czy ją podjęła? Czy istniał taki moment, w którego istnienie w swoim uniesieniu na wpół wierzyła, kiedy mogła powziąć tę decyzję: zostać czy odejść? A co z Claire? Czy Annais w ogóle nie brała jej pod uwagę? Nie do wiary. Jeżeli miała wybór, musiała wierzyć, że ona i Claire wybierają się do świata znacznie lepszego, niż ten, który zostawiają za sobą. Niewątpliwie musiała w to wierzyć.

Ale jaki miałby on być?

Chociaż dotarł do Amsterdamu, wciąż nie był gotowy, by się tego dowiedzieć. Postanowił wymazać ten kuszący kod, okropne i złowrogie cyfry. Musiał. To była kruczata głupca. Nie będzie próbował odnaleźć Hansa.

Ale z drugiej strony — nie wykasował pliku. Podniósł się. Płonęło w nim rozczarowanie.

I ulga.

Nie był głodny, nie kusily go sklepiki z winem, bary z trawką, wrota obiecujące mocne i wyborne piwo. Pamiętał mapę znajdującą się na odwrocie jednej z broszur, ale wbrew sobie szedł przed siebie, błędząc, co pewien czas pytając o drogę, zastanawiając się przy tym bez przerwy, po co właściwie tam idzie?

Muzeum van Gogha lśniło bladym srebrem pod bladym srebrnym niebem; raz jeszcze chmury zakryły słońce. Podeszedł do biletera i zatrzymał się. Dlaczego miałby się torturować ponownym oglądaniem sztuki w samotności? Zawrócił.

Ktoś dotknął jego ramienia, drgnął i odwrócił się gwałtownie.

Kobieta o rudych włosach.

Nie miała już na sobie gładkiego przeciwdeszczowego hełmu, wiatr potargał jej krótkie ogniste włosy. Szeroko otwarte szare oczy ocienione ciemnymi rzęsami, patrzyły na niego badawczo, błędząc po jego twarzy, jak gdyby w niewyjaśniony sposób wydobywała z niego ważne informacje. Dłonie wcisnęła w kieszenie czarnej, skórzanej pilotki.

— Widziałam cię — stwierdziła.

Teraz on wpatrywał się w nią. Czego chciała?

— Tak — odparł. — Na łodzi.

— Nie — powiedziała. — Na nabrzeżu.

Nic na to nie powiedział. Nie potrafił. Widziała jego paszport — wiedziała, że kłamał. Posiadał taką samą umiejętność, jak tamci holowariaci w porcie, nielegalną w pozostałej części Europy.

Wciąż mu się przyglądała, jakby się wahając. Czy chciała j go zadenuncjować? Ulżyło mu, kiedy dodała tylko:

— Naprawdę powinieneś zwiedzić to muzeum. Chodzę do niego prawie zawsze, kiedy jestem w mieście. Naprawdę warto wydać pieniądze na bilet. Niezły filozof był z tego van Gogha.

Jakby była przewodnikiem, wyciągnęła z kieszeni kurtki podniszczoną książkę o van Goghu. Otworzyła się na stronie, [którą zapewne wielokrotnie czytała.

— Posłuchaj, co mówi o śmierci: „Biorąc pod uwagę kolosalną j liczbę narodzin, każda indywidualna śmierć nie jest zbyt skrupulatnie odnotowywana — ale jakież ma to znaczenie? W końcu liczy się mnogość”.

Głos miała czysty i wyrobiony. Rozluźnił się; może była trochę szurnięta, ale interesowała się sztuką, tak jak Annais.

— Co według ciebie to oznacza? — zapytał, nabierając nagle czujności, bo miesiącami nie myślał o niczym innym, tylko o śmierci.

Zamknęła książkę i uśmiechnęła się.

— Któż to wie? — odparła. Włożyła ją z powrotem do kieszeni, po czym wzięła go pod ramię, chociaż stał nieruchomy jak posąg.

— Chodź — powiedziała. — Mają tu naprawdę dobre alkohole. Postawię ci drinka. Proszę.

Pozwolił jej wprawić się w ruch. Przeszli trzy przecznice, po czym przystanęła, rozglądając się dookoła.

— Zdawało mi się, że to gdzieś tutaj, miejsce z odrobiną prywatności... O, tutaj!

Zszedł za nią kilka stopni w dół od poziomu ulicy i znaleźli się w ciemnym pomieszczeniu z dużą liczbą przepierzeń, tworzących wnęki. Parę osób pozdrowiło ją, a kelner zwrócił się do niej po imieniu. Stannis musiał chyba wyglądać na zaskoczonego, bo gdy wślizgiwali się za jedno z przepierzeń zapewniających im nieco odosobnienia, powiedziała:

— Amsterdam jest moim domem.

W powietrzu unosił się cichy pomruk rozmów. Znów mu się przypatrywała, głęboko oddychając. Po chwili wzruszyła ramionami i określiła dziwnie brzmiącą muzykę dobiegającą z aparatu na stoliku mianem celtyckiej, po czym zanuciła krótko ślicznym kontraltem, tworząc kontrapunkt. Pomyślał, że jej uśmiech wyglądał dziwnie obsesyjnie.

Miała na imię Lise. Ona pamiętała jego imię z paszportu. Lise zamówiła dla obojga jenevera w małych wydłużonych kieliszkach i koszyczek chrupiących, delikatnie posolonych, smażonych rybek. Jenever był mocny, ale on już przyzwyczał się do mocnych alkoholi, podobnie chyba jak ona, bo zamówiła jeszcze kilka kolejek. Alkohol palił, kiedy spływał w dół przetyku i miał cytrynowy smak. Nabrała rumieńców, a on pomyślał, że jest ładna, czym zaskoczył samego siebie. Miała niezły apetyt, chociaż była chuda jak patyk, co zauważył, gdy odwiesiła swoją

bufiastą kurtkę obok przepierzenia. Uniosła ku niemu wzrok w połowie kęsa i dopiero po krótkiej pauzie przelknęła.

— Wiesz, widziałam twoją projekcję — oświadczyła. — Byłeś zaskoczony? Bardzo szybko odszedłeś.

— Tak. Nie. Chyba — odpowiedział. By ukryć zmieszanie, chwycił garść rybek, przeniósł je na stojący przed nim biały talerz i skropił octem. Ręka mu dygotała, gdy odstawiał z powrotem buteleczkę. Sięgnęła ku niemu i dotknęła jego dłoni, ale drgnął, więc szybko ją cofnęła. Kilka razy głęboko odetchnął.

— To nie zbrodnia, wiesz? — Wyjaśniła. — Przynajmniej nie tutaj.

Wzruszył ramionami, dopiero za trzecim razem udało mu się wydobyć głos i słowa. Minęło wiele czasu, odkąd z kimś rozmawiał.

— Nie chodzi o to, że...

— Chodzi o to — mówiła dalej — że to nie jest wina ludzi, którzy mają modyfikacje, zwłaszcza, że powrót do poprzedniego stanu jest sprzeczny z zaleceniami EG. Zazwyczaj po prostu trzeba się z tym jakoś kryć, unikać sytuacji, w których zawartość twojej podświadomości mogłaby zostać ujawniona. Przeważnie następuje to na prywatnych spotkaniach. Dlatego jest tyle szalonej euforii w robieniu tego publicznie. Jednocześnie jest to tak bardzo przerażające, bo ktoś, kto się w tym nie wyćwiczył, będzie po prostu spiętrzał dziwaczne i niepokojące myśli o zabarwieniu seksualnym, mordercze wyobrażenia, wszystko to, co tak sprytnie ukrywamy na co dzień. To jest jak teatr umysłu. I pewnie takie było założenie, prawda? Na początku miało pewnie mieć jakiś cel terapeutyczny, tak? A potem nie u wszystkich zadziałał wyłącznik — urwała. — Tamta twarzyczka, którą stworzyłeś wewnątrz słonecznika, była naprawdę piękna. — Głos jej się załamał, odkaszlnęła i łyknęła odrobinę wody.

— To była moja córka — wyjaśnił.

— Ach tak. — Skryła wzrok w mdłym świetle, a on domyślił się, że myślała o jego paszporcie i zdjęciach, które przypadkowo wywołała.

— Stare zdjęcie?

— Sprzed pięciu lat — odparł, sam dziwiąc się upływowi czasu. Jakoś nie odczuł dotąd, że to już tyle. Pięć lat to przecież szmat czasu. Ale jednak nie. Muzyka skończyła się, głosy dochodzące z sąsiednich wnęk były ciche, przytłumione. Deszcz zacinał po szybach; burze zjawiały się tu niespodziewanie.

— To teraz ma jakieś sześć? Siedem lat? — zapytała Lise, ale przerwa, jaką zrobiła przed tym pytaniem, podpowiadała mu, że wiedziała, choć nie była całkiem pewna. Rozgniewany nagle, oparł się mocniej o ścianę wnęki.

— Obie nie żyją.

— Jak to się stało? — zapytała. Nieco zbyt niecierpliwie, pomyślał, ale jej wygląd zdradzał tylko troskę i smutek.

— Zdecydowały się razem. Beze mnie. Terapeuta — ten, który nalegał, żebym robił projekcję, a ja byłem na tyle głupi i zdesperowany, żeby go posłuchać — powiedział, że to musiał być rodzaj jakiegoś nieuniknionego intelektualnego uniesienia, które było niemal tak silne, jak feromony... — umilkł i spojrzał na nią.

— Zdecydowały? — zdziwiła się.

— Tak mi się wydaje.

Powróciła ciemność, okrywając wszystko wokół. Mała lampka rzucała przytłumione żółtawe światło, które sprawiało, że wszystko wydawało się takie przytulne — mała czarna akwaforta przedstawiająca zatokę rojącą się od łodzi o wielkich żaglach, świeżo napełnione kieliszki jenevera, wszystko to oddaliło się, pozostawiając jedynie ból.

Dotyk dłoni Lise na jego dłoni. Tym razem nie cofnęła jej, kiedy próbował wyrwać swoją.

— Opowiedz mi — odezwała się. — Proszę. Nie sądzę, żeby terapia odniosła skutek.

Rozluźniony za sprawą jenevera, a może i czegoś jeszcze, prowadzony przez niezgłębiony wyraz jej oczu, usiłował odnaleźć początek. Był zaskoczony, gdy wreszcie popłynęły słowa. Zrazu trochę się jąkał, potem zaczął mówić szybciej, jakby chciał wyrzucić to z siebie jak najprędzej.

— Obwiniam się, że nie zorientowałem się, co się dzieje. Kilka lat temu weszliśmy w paradę pewnej terrorystce, która wypuściła jakieś nano, coś z czym rząd najwidoczniej eksperymentował w Nowym Hongkongu. Wyparli się, że cokolwiek na ten temat wiedzą, ale po tym jak Claire i Annais... umarły... — Cofnął dłoń i zaczął drzeć serwetkę na coraz mniejsze kawałki. — Najpierw wszcząłem awanturę. Niczego to nie dało. Potem próbowałem dowiedzieć się jak najwięcej na własną rękę. Annais miała całkiem wysokie uprawnienia, więc korzystałem z tego przez jakiś czas, dopóki nie wpadli na to, żeby je cofnąć. Jeden urzędnik w końcu przyznał, że istniało coś takiego, jak eksperymentalne nano czasowe i że zlokalizują wszystkie pozostałe osoby, które wtedy były w restauracji i umieszczą je w specjalnym środowisku dopóty, dopóki nie przejdą fazy krytycznej. Potem okazało się, że trzeba było mieć utalentowane fragmenty, żeby nano zadziało w ten a nie inny sposób, i oświadczyli, że nikt poza nimi ich nie miał, niemniej zajęli się każdym, kogo zdołali odnaleźć.

— A ty masz utalentowane fragmenty?

— Tak — odparł. — Chociaż nie mogę powiedzieć, żeby to miało dla mnie jakieś szczególne znaczenie w życiu, jeśli chodzi o zdolności. Często tak się zdarza.

— Ano często — przytaknęła i zakasłała gwałtownie. Upiła trochę wody i pytała dalej. — Więc dlaczego ciebie to nie dopadło?

— Chyba miałem szczęście, nie wiem. — Roześmiał się głucho. — Zapach pełnił wyłącznie rolę markera, nie był samym nano. Wiał lekki wiatr.

Terapia! Niezły dowcip — opowiedział jej o tym. Profilaktyczne plastry transdermiczne nasączone chemicznymi substancjami nadziei. Hormony. Terapeuci podkreślający wspaniałość życia tu i teraz: nie ma życia po śmierci. Nie ma innego życia; nie ma innych możliwości, niezależnie od tego, jakie ty masz w tej kwestii odczucia i jak rozciągnięty i odmienny stał się dla ciebie czas. Ale Stannis był przekonany, że jeżeli komuś to się nie przytrafiło, ów ktoś nie był w stanie zrozumieć, o co chodzi. Jeśli nie dotknęło to ciebie, to nie mogłeś osadzać ofiar w tej rzeczywistości. On nie był w stanie tego robić. Wciąż tego nie pojmował. Annais i Claire wyłączyły swoje własne ciała. To było jednocześnie morderstwo i samobójstwo. Zgadza się?

Opowiedział Lise, jak pewnego razu w pokoju projekcji u terapeuty, Annais była niewielką figurką z dala od niego, stojącą na nagiej wietrznej równinie. Stała sama, w ekstazie, wiatr odgarniał jej włosy do tyłu i owijał sukienkę ciasno wokół ciała. Claire pobiegła, żeby się do niej przyłączyć. Trzecia postać stała daleko od nich i biegła desperacko, próbując je dogonić, ale nie potrafiła; Annais i Claire promieniowały światłością, potem się nią stały, a owa światłość uniosła się ku górze, podczas gdy trzecia figurka nadal beznadziejnie biegła.

— Musisz jej wybaczyć — stwierdził wówczas terapeuta. — Nie rozumiesz? Musisz im pozwolić odejść.

Albo pójść za nimi, pomyślał wtedy z wściekłością.

— To było jak jakaś zaraza, ta siła myśli — powiedział. — Wydaje mi się, patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, że one przemyślały wszystkie możliwości, ale w wielkim pośpiechu.

— Możliwości? — Zdumiała się Lise, oczy miała nieruchome jak niebo w pochmurny dzień. Skurczyła się w kącie wnęki, rude włosy były zalane delikatnym światłem lampy. Zamówiła filiżankę mocnej gorącej herbaty, dodała do niej mnóstwo mleka i cukru, i trzymała ją oburącz,

upijając po łyeczku od czasu do czasu. Czy twarz jej pobladła na dźwięk słowa „możliwości”, czy może było to tylko światło?

— Każde rozgałęzienie potencjalnego życia, jakie mogły prowadzić, każda permutacja istnienia — objaśnił. — W jakiś sposób widziały je.

Lise milczała. Po prostu sączyła swoją herbatę i słuchała, niekiedy marszcząc czoło w zamyśleniu.

Stannis wyjaśnił, że — patrząc wstecz na tamte kilka ostatnich tygodni — niemal dostrzegali, jak ich głowy świecą ową siłą myśli, a potem już ich nie było, przeżywszy wielokrotnie i dokonawszy wyboru spośród rozmaitych możliwości, stwierdziły, że większość jest całkiem dorzeczna, w każdym razie owe możliwości tam były, im znane, dostępne w sposób dla niego niezrozumiały.

— Claire zawsze zadawała najdziwniejsze pytania — powiedział, a w oczach Lise pojawił się krótki, porozumiewawczy błysk. — Ale pewnego dnia, kiedy miała sześć lat, poszedłem po nią do szkoły. Już na mnie czekała, gotowa do wyjścia. Stała w drzwiach wpatrzona w deszcz. Często tak robiła. Zaczynało mnie to martwić, takie długie wpatrywanie się. Patrzyłem na nią, chciałem sprawdzić, jak długo tam będzie stać. Potem jej nauczyciel zamachał mi przed nosem wydrukiem, a ja zapytałem: „Co to jest?”. Wyglądał na przestraszonego. Wyjaśnił, że dzieci mogły korzystać z całego kontinuum informacji za pomocą komputerów, pod warunkiem, że skończyły swoje lekcje. Powiedziałem: „I co?”. Próbowałem zachować spokój, ale on był bardzo poruszony i wyjaśnił mi, że to są równania kwadratowe, i że to była praca Claire. Powiedziałem mu, że to niemożliwe, a tymczasem Claire rozłożyła parasolkę i wyszła na deszcz. Pośpieszyłem za nią.

Tamten dzień. Tak. Może to wówczas powinien coś zrobić. Tylko co? Co, pomyślał, dopijając resztki swojego jenevera.

Pamiętał ów dzień. Był w swojej pracowni w ich starym domu w Georgetown. Sufity były wysokie, co mu bardzo odpowiadało. Ponieważ tak bardzo kochał wszystko w swoim życiu, może powinien był wiedzieć, ale nie wiedział. Wzniósł ścianę pomiędzy terrorystką a terażniejszością. W końcu minęły lata, a oni po pierwszym roku uznali, niczym niemądre dzieciaki, że niebezpieczeństwo minęło. W przeciwnym razie ciężko byłoby żyć.

Tamtego jesienno-wieczornego przemarzł, wracając pieszo ze szkoły wraz z Claire i to od czegoś innego, głębszego, nie związanego z chłodem. Mieszkali na wzgórzu, światła miasta zaczynały jaśnieć w deszczu. Nalał sobie odrobinę szkockiej i spoczął na swoim skórzanym krześle. Miniaturowy szkic van Gogha w ołówku majaczył na przeciwległej ścianie.

Skrzypnęły drzwi i weszła Claire.

— Ciemno tu, tatusiu — powiedziała.

— Włącz światło — zaproponował, ale zamiast tego podeszła do okna i patrzyła na światła. Przebrała się w coś w rodzaju ciepłego kostiumiku. Była teraz bardzo schludnym dzieckiem, cichym i spokojnym, zupełnie różnym od dziewczynki, jaką była wcześniej. Gromadziła się w niej i uwalniała cisza, spokój — czuł, że w niego zapada. Zdał sobie sprawę, że czuł się ostatnio bardzo samotny. Annais i Claire zbliżały się do siebie, ale może to było nieuniknione, bo Claire była przecież dziewczynką.

— Claire — odezwał się, a ona się odwróciła. Nie widział wyrazu jej twarzy w ciemności. — Chodź tutaj — zaproponował, czując się nieco zakłopotany. — Usiądź mi na kolanach.

Usiadła.

— Co jest grane? — zapytał.

— Eee — odpowiedziała. — Tak się tylko zastanawiałam.

— Nad czym?

— Nad naszym numerem telekomu. To liczba pierwsza.

— Naprawdę? — Zdziwił się. Pomyślał przez chwilę. Jakoś nie mógł tego uchwycić. — Może — rzucił. — Dlaczego tak myślisz? Jak na to wpadłaś?

Spojrzała na niego i powiedziała:

— Nie wiem. — Ale nie wypowiedziała tego tonem kogoś zaskoczonego, lecz kogoś, kto po prostu to wie i nie dba o to, skąd. Ześliznęła mu się z kolan i pobiegła do drzwi. Znalezienie listy liczb pierwszych w sieci i ustalenie, że miała rację, zabrało mu zaledwie kilka chwil.

To, o czym myślała Annais oraz ów brzeg, na który Claire zdawała się coraz mocniej wrastać, nie były czymś, z czym łatwo się godził. Nie tak dawno powiedział swojemu ojcu, że aby być nauczycielem trzeba zrozumieć to, co myśli uczeń i dzielić wszystko na odpowiednie dla niego etapy. Odnosił się do dawnych wysiłków ojca, który próbował uczyć go matematyki przez dwa lata — z tym, że jego ojciec nazywał to nauką myślenia. Kiedy Stannis powiedział ojcu o etapach, ten posłał mu spojrzenie niemal identyczne, jak dzisiaj Claire, tylko odrobinę bardziej zdumione.

— Może nie wiedziałem, że są jakieś etapy — odparł wreszcie.

Zdawało się, że Claire też o nich nie wiedziała. Żadnych etapów — po prostu wiedza. Czemu miałyby się tego bać? Może w gruncie rzeczy był trochę zazdrosny? A może przyjaciółka Annais, Julie, miała rację co do wzmacniania genów. Pazerność, określiła je z pogardą. Odrzucił obie możliwości. To było coś innego.

Było już bardzo ciemno. Nie włączył światła.

Myślał o bólach głowy, na które w ciągu ostatnich kilku miesięcy skarżyła się Annais, a których przyczyny lekarze nie byli w stanie określić. Orzekli, że to stres i zalecili bioreakcje. Ponieważ nie posiadały podłoża organicznego, Annais bez skrupowania odrzuciła je. Doświadczała ogromnego wybuchu kreatywności, który towarzyszył jej przez kilka miesięcy.

— Sęk w tym — mówiła — że to, o czym myślę jest w gruncie rzeczy bardzo proste. Ma związek z teorią ostateczną, no wiesz, wyjaśniającą sam wszechświat. Teoria strun — dasz wiarę? Ta stara śpiewka. Ale jestem w stanie zwizualizować każdą fazę, wszystko, co muszę zrobić. W najdrobniejszych szczegółach. Dokładnie to, jak rozszczepia się czas. Jak myśl przechodzi w materię. Znaczenie obserwatora, jego siłę. Ale to przelatuje tak szybko, że naprawdę ciężko jest cokolwiek uchwycić, zanotować. Stannis, to mnie czasem przeraża.

W rzeczy samej.

Któregoś niedzielnego ranka siedzieli we trójkę w kuchni i jedli śniadanie. Annais podskoczyła, a Claire pobiegła do telekomu i zamarła. Odwróciła się przestraszona i wróciła do Annais, która przytuliła ją ze łzami w oczach.

— O co chodzi? — spytał.

Annais tylko pokręciła głową, pobladła, ale Claire odwróciła się i powiedziała:

— Usłyszałam, jak dzwoni telekom, tylko że to była środa.

— Środa po południu — dorzuciła Annais, wyglądając przez okno.

A potem nastąpiły całe tygodnie szczęścia. Nie mówiły już o podobnych rzeczach, przynajmniej nie przy Stannisie. Ich twarze stały się przejrzyste i pełne zapału. Obie schudły i wyglądały jak zjawy, zjawy anielskie — piękne. Claire bez przerwy śpiewała piosenkę o słoneczniku, radośnie, aż wystarczyły trzy pierwsze wznoszące się tony, żeby czuł ucisk w żołądku. Czuł narastający dyskomfort.

— Jesteśmy informacją — powiedziała kiedyś Annais, a oczy lśniły jej dziko. — Wszystko nią jest. To wszystko, czym jesteśmy. Nie ma niczego więcej. Nie rozumiesz?

— Chyba nie do końca tak, jak ty — odparł, walcząc z uczuciem paniki. — Może powinnaś jeszcze raz pójść do lekarza.

Ale Annais utrzymywała, że to, co się działo, było logicznym następstwem jej pracy, i że Claire powinna teraz zajmować się trochę podstawami algebry, tak jak niektórzy z jej bardziej zaawansowanych rówieśników — po prostu miała nad nimi kilka kroków przewagi. Od ataku terrorystycznego minęły wówczas już trzy lata.

Teraz jednak nie mógł sobie wybaczyć, że nie dostrzegł oczywistych związków. Ale co niby mógłby zrobić? Annais stała się bardziej dziecinna, w pewnym sensie taka jak Claire, chociaż to właśnie jej umiejętność myślenia abstrakcyjnego tak bardzo go zawsze w niej pociągała. Zawsze czuł, że żyła w świecie, którego on, jako inżynier budowlany, nie umiał pojąć, toteż czuł do niej wielki szacunek i podziw. Aż do chwili tamtej ostatecznej decyzji.

Czy to była decyzja? Tego właśnie musiał się dowiedzieć!

— Byłbym taki szczęśliwy, gdyby okazało się, że nic nie mogłem zrobić — usłyszał sam siebie. — Nawet gdybym wiedział to tylko przez chwilę!

— Ale dlaczego jej twarz była wewnątrz słonecznika? — spytała Lise dziwnie ponaglająco, co przywróciło go do teraźniejszości.

— Słucham? — spytał. Zdał sobie sprawę, że oczy nabiegły mu łzami, które w końcu wezbrały tak bardzo, że pociekły mu po policzkach. Mówił głośno, czy tylko myślał?

— Nie wiem dlaczego jej twarz była w słoneczniku — odparł, choć w gruncie rzeczy wiedział. To była Claire, śpiewała tę dziecinną słonecznikową piosenkę. Wpatrzona w niego, śpiewając w sposób, który graniczył z przymusem.

I ta świadomość sprawiła, że zapytał:

— Czy mówi ci coś nazwisko Hans Utrecht?

Chociaż wzrok miała utkwiony w swojej herbacie, dostrzegł, że jej oczy rozszerzają się. Uniosła wzrok i coś — rezygnacja? — rozbłysło w jej spojrzeniu. Nie odezwała się, chociaż patrząc na Wyraz jej twarzy nabrał pewności, że zna Hansa. Wreszcie, lekko przechyliła głowę, na ustach pojawił się przelotny uśmiech — do siebie, nie do niego, tak jakby podjęła jakąś decyzję.

— Owszem, mogę skontaktować cię z tymi ludźmi.

Chciała go odprowadzić do hotelu, ale odmówił. Nieznacznie, na urzędniczy sposób, skinęła głową, zawahała się przez chwilę, po czym odwróciła się i zniknęła w uliczkach, które ogarnął już mrok.

* * *

Hans spotkał się z nim w starodawnym jawajskim domu i nawet wdał się z nim w dyskusję przy curry. Był niski i ciężki, miał rumianą twarz pokrytą rudą brodą, która schodziła nieco poniżej podbródka. Widocznie Lise powiedziała Hansowi, czego dowiedziała się o Stannisie, i to nieco martwiło Hansa.

— Oczywiście jesteś dorosłym człowiekiem, ale są dowody, że to nano jest szczególnie niebezpieczne. Zostało opracowane przez twój rząd i, z tego na ile się orientuję, z całkiem nietypowych powodów. Większość ludzi pragnie nano, które są — jak by to powiedzieć — trochę bardziej rozrywkowe.

— Jakich powodów? — zapytał Stannis.

Hans wzruszył ramionami:

— A kto to wie? Byłem przy trzech osobach, które tego spróbowały. Jedna z nich chodziła w kółko gadając o tym, co się stanie jutro. Oczywiście żadne z tych wydarzeń nie nastąpiło, ale oni byli o tym święcie przekonani. Inna, cóż, przeżywała wciąż na nowo dzień, w którym poszła do cyrku, kiedy miała pięć lat. To wszystko. Jakie są strategiczne implikacje znajomości

przyszłości? Nawet odrobiny? Choćby przewidywalnego ułamka? Czy to naprawdę jest możliwe? Komputery tego nie potrafią, ale ludzie nie są komputerami, prawda?

— Czy oni umarli?

— Żadne z nich nie zmarło, ale nie mogę powiedzieć, że byli tacy sami, jak wcześniej. Oczywiście te nano, które oni mieli, były ograniczone czasowo. Oboje wycofali się. Zgadza się, że to nie ma sensu. Ale to miało miejsce jakiś czas temu. Straciłem już z nimi kontakt.

Stannis nie był zaskoczony. Może ich geny nie zostały zmodyfikowane w ten sam sposób, co jego, Claire i Annais. Najwidoczniej kluczowy zdawał się tu sposób, w jaki przyłączały się do poszczególnych rodzajów mitochondriów.

— A trzeci? — spytał Stannis.

— Wyglądało na to, że na trzeciego nie miało to żadnego wpływu — odparł Hans.

— A po jakim czasie dało się zauważyć... wpływ na tamtych ludzi?

Hans poprosił o następną kawę.

— Po mniej więcej godzinie.

— W przypadku tamtej wersji zabrało to trzy lata.

— To dosyć łatwe do zaprogramowania, jeśli chcesz.

— Nie — oznajmił Stannis.

— Możemy zrobić je z mechanizmem samoograniczającym — zaproponował Hans. —

Przynajmniej tyle.

Stannis rozważył propozycję. W końcu powiedział:

— Nie.

* * *

Wystarczyło, że poczekał do następnego ranka i już wciągał nosem to, co zabiło jego żonę i dziecko.

Była przy tym Lise, siedziała naprzeciw niego na sfatygowanym, wykrzywionym krześle i czytała.

— Nie możesz być sam — upierała się. Wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy. Potem zapadł w sen.

Kiedy się obudził, był zdezorientowany, potem bardziej przytomny. Przez zasłony wciąż przesączało się światło dnia do jego taniego pokoju. Usiadł zaniepokojony, a po chwili poczuł rozczarowanie.

— Która godzina?

— Około jedenastej — odpowiedziała, zamykając swoją ulubioną książkę i wkładając ją z powrotem do kieszeni.

— Hans wcisnął mi chyba jakiegoś bubla — stwierdził. Poczuł dojmujący smutek. Ale... przynajmniej zrobił wszystko, co było w jego mocy. Mógł teraz wracać do domu.

Lise pokręciła głową.

— Nie, na Hansa można liczyć. Jest najlepszy w tej branży. Całkowicie można na nim polegać. Chodźmy — rzuciła. — Co powiesz na spacer i coś do jedzenia?

Spacer. Tak, wiedział, dokąd chciałby pójść. Jeżeli miało to zadziałać, co wydawało mu się raczej wątpliwe.

Podniósł się. Nie zadał sobie trudu, żeby się ogolić tego ranka. Spojrzał w lustro.

— Wyglądasz w porządku — oświadczyła. — Jestem głodna. Stało się to zaraz przy następnej przecznicy. Poczuł się koszmarnie słabo, ale tylko przez pół minuty. Skronie przeszył mu ból, a

wszystko wokół stało się białe. Odbiło mu się, jakby miał zwymiotować, wsparł się więc jedną ręką o chropawę cegły mijanego budynku.

Kiedy wzrok mu się przejaśnił, zobaczył, że stoi przed nim Lise, z zaniepokojeniem i współczuciem na twarzy.

Zobaczył też ich oboje, jak idą z przodu — tak, to byli Lise i on, patrzyli na wystawy sklepowe i śmiali się.

Niesamowitość tego doznania była druzgocąca. Nie powinien był tego robić. W jaki sposób Annais i Claire były w stanie z tym sobie radzić? Nic dziwnego.

Gdzie one były, u licha? Być może — tu nastąpiło uderzenie paniki — być może powinien był poprosić Hansa o to, żeby proces zaczął się dopiero w przyszłym miesiącu, kiedy już wróci do domu, wówczas byłoby wszędzie: w ich domu, na ulicy, i mógłby wybierać, mógłby za nimi chodzić...

Napięcie było nie do zniesienia. Zaczął biec. Może teraz projekcje na coś się przydadzą! Zatrzymał się i pozwolił, by Lise go dogoniła.

— W którą stronę do nabrzeża? Szybko!

Musiał sprawić, aby to o czym myślał stało się widzialne, realne. Jeśli istniało jakieś miejsce, w którym Claire i Annais przebywały, gdyby jakimś cudem je odkrył, z pomocą jakiejś ukrytej części swojego umysłu, miejsce, w którym zostały zatrzymane na zawsze na grzbiecie załamującej się fali...

Na końcu wąskiej uliczki dostrzegł błękit wody. Lise pociągnęła go za ramię — odwrócił się, zbiegł w dół po wzgórzu, zdyszany dobiegł do szerokiego nabrzeża wyłożonego kocimi łbami i począł przepychać się przez roztańczonych holografików w kierunku jego centralnej części.

Patrzył, jak wszystko wokół niego jaśniało, zmieniało się, po czym blakło — turyści popijający wino i pokazujący coś palcami ze swoich stolików na obrzeżach, pozostali holograficy wraz ze swoimi anemicznymi, rozedrganymi obrazami. Poczul, jak robi mu się bardzo ciepło.

Tam! Były tam! Claire! Annais! Ale... leżały na łożu, swoim ostatnim miejscu spoczynku. Uśmiechnięte, trzymały się za ręce. Wziął oddech, sięgnął ku nim, krzyknął...

Wówczas zniknęły i to w jaki dziwny sposób: liczby wirowały wokół niego, maleńkie, niczym czarne owady, delikatne, splatające się i łączące, tworzące ulotne, konkretne rzeczywistości, które rozpadały się równie szybko, jak powstawały.

Myśl — albo coś podobnego, jakby rodzaj napięcia, które, zdał sobie nagle sprawę, pochodziło od niego — schwyciła krawędzie płaszczyzn, płaszczyzn stołów, pokładów statków, budynków; pionowe płaszczyzny, poziome płaszczyzny, potem płaszczyzny, które rozchodziły się w miliardy kierunków — i szarpnęła. Płaszczyzny zaginały się ku niemu, jakby były giętkie, rozszerzały się i wyginały, potem mieszały się z inną, większą prędkością, a prędkość miała wagę, która naciskała na niego — wokół siebie słyszał jakiś ryk i krzyki, ujrzał dwie jaśniejsze sylwetki. To one! Pomnażające się w nieskończoną liczbę replik, tak jakby znajdował się w wirującym jądrze zachwycającej, obracającej się, wieloramiennej galaktyki...

Czuł się brutalnie popychany, pośród tego chaosu, jakby jego ciało należało do kogoś innego. Potknął się, upadł. Czyjeś ręce chwyciły go za nadgarstki, pociągnęły po szorstkich kocich łbach, po czym upuściły.

Otworzył oczy i dotknął skroni. Bolało. Dłoń lepiła się.

— Zabierz go stąd, kobieto — usłyszał, jak ktoś zwraca się do Lise, która pochylała się nad nim. — Jest niebezpieczny.

Lise pomogła mu podnieść się. Była silniejsza, niż sugerował jej wygląd. Wsparł się o nią, wziął głęboki oddech i oświadczył:

— Mogę chodzić. Co się stało?

Przechyliła głowę, nieznaczny uśmiech przemknął po jej twarzy. — Wydmuchałeś je z wody, to się stało. Nigdy cię nie przebiją. To było jak uderzenie bomby neutronowej. Czyste światło. Przez chwilę nikt nic nie widział. — Otoczyła go ramieniem i pomogła mu iść, zmusiła go, żeby usiadł na ławce przy kanale. Zmoczyła papierową chusteczkę w wodzie i wytarła otarcie na jego czole.

— Odpocznij — powiedziała.

— Nie zachowywały się w ten sposób — oświadczył zrozpaczony. — Były takie opanowane, spokojne, i wyglądały, jakby wiedziały dużo, dużo więcej.

— Ludzie są różni — stwierdziła. Łatwo ci filozofować, pomyślał.

I wtedy jego wzrok rozszczepił się raz jeszcze.

Czuł twardą ławkę pod sobą, rękę Lise na swoim ramieniu, a jednak patrzył w głąb ulicy i ujrzał...

Claire.

Wyglądała na pięć, sześć lat. Biegła ku niemu tupiąc nogami, biegła bardzo szybko — ubrana w niebieskie spodenki i żółtą koszulkę — nie zatrzymując się, by spojrzeć na zapraszające wystawy mijanych sklepów. W miarę jak była coraz bliżej, stawała się coraz starsza, starsza niż wtedy, kiedy odeszła, aż osiągnęła pełnię kobiecości. Dzieci migotały obok niej i znikaly, zupełnie jakby przebiegała przez ich warstwy i pozostawiała je za sobą.

W odległości trzydziestu centymetrów przed nim stanęła stara kobieta i wpatrywała się w niego, jakby wielce zaskoczona. Włosy miała całkiem białe; stała wyprostowana i pełna godności. Przechyliła głowę i powiedziała:

— Kim...?

Stannis podskoczył i sięgnął ku niej, ale po chwili już jej nie było.

— Nie — wyszeptał.

Pochylił głowę. Dla nich to było rzeczywiste. Potrafiły nad tym zapanować, potrafiły przez to podróżować. Czy nie tak? A może było to tylko złudne przekonanie, jakie żywił? Nadal nie wiedział.

Stał, a Lise stała razem z nim.

Ruszył krętymi uliczkami Amsterdamu, pozostawiając żal za sobą.

Wzrok uspokoił się. Widział tylko jedną rzeczywistość, ale miała ona ostre krawędzie, stłumione barwy, prawie tak, jakby kolory były niskimi, brzęczącymi dźwiękami obdarzonymi swoistym imperatywem, jakimś żądaniem, które wypływało na powierzchnię pośród możliwości i przyciągało go to tu, to tam, ulicą Damrak, potem Voortburgwal. Każda komórka jego ciała czuła, że żyje, każdy atom, każdy tachyon, każdy możliwy wektor i kierunek czasu wykwił z niego, zmierzał ku niemu, ożywał na ulicach Amsterdamu, tak jakby samo miasto żyło i było dostrojone do czegoś, co tkwiło głęboko w nim samym. Wszystkie możliwości sprowadzały się właśnie do tego. Właśnie te ulice, ten czas. Życie i śmierć — ów wielki podział, wielka dychotomia — tak naprawdę nie istniały. Annais i Claire były częścią Amsterdamu. Zawsze były przy nim. Były zawsze w Lise, tu obok niego. Rozszczepione „ja” mogą umrzeć, jednakże jedno „ja” będzie żyć nadal. Taka była cała prawda. Czemu więc wybierać jedno albo drugie, albo udawać, że się wybiera? Wola, zamiary i pragnienie wysublimowane z niego, pozostawiały coś, co jego istnienie manifestowało jako prawdę. I... oto Muzeum van Gogha.

Stał naprzeciw niego na rogu, potrącany przez tłum przechodzących przez ulicę. Poczł zapach kiszzonej kapusty i musztardy, słyszał, jak skwierczą kiełbaski na pobliskim straganiku.

Przez cały czas musiał tu zmierzać, tak jak przedtem zmierzał do Amsterdamu, nie będąc o tym do końca przekonany.

Tak, teraz sobie przypominał, miał się tu spotkać z Claire. Mieli coś w rodzaju umówionego spotkania na dzisiaj, właśnie dokładnie na tę godzinę. Nic więc dziwnego, że się tak guzdrał. Nie wolno mu było zjawić się za wcześnie. Jak cudownie! Czy będzie stara? Młoda? Nieważne! Podszedł do budki i śmiało kupił bilet.

I wówczas, przypominając sobie, wpadł w panikę.

Claire nie żyje. Annais nie żyje. Już nigdy się do nich nie zbliżysz. Ani razu. Odeszły na zawsze. Wyobrażasz sobie tylko to wszystko. Tak jak one. Nic się nie dzieje w świecie zewnętrznym, w świecie rzeczywistym. To tylko coś, co dzieje się z twoim mózgiem, nic więcej. Ogarnęła go chwilowa ciemność.

Po chwili: Pójdę tam, gdzie one.

Tak. Do tamtego świetlistego miejsca, chociaż będzie ono świetliste tylko przez chwilę. Stłumić mechanizm oddychania będzie łatwo, jak myśl. Świetnie, byłoby to tak, jakby zastygnąć na progu wszystkich tych możliwości.

Cudownie. Przepraszam — nie mogę się powstrzymać.

Zdawał sobie sprawę, że pot ścieka mu po twarzy i jego ciało raz jeszcze pograżyło się w chaosie. Spokój kilku ostatnich godzin pierchnął. Przez chwilę poczuł w sobie gniew, który następnie ustąpił, ponieważ zjeżdżał w dół proporcjonalnego lejka inferencji, z których każda rozciągnięta była niczym rozpalone kryształowe szkło, choć praktycznie nie był w stanie się zatrzymać, żeby przyjrzeć się którejkolwiek z nich. Wciąż było ich więcej, jedna prowadziła do drugiej, a on nie mógł się zatrzymać, mógł jedynie prześlizgiwać się dalej, i dalej, i dalej, z coraz większą prędkością, póki nie zapali się i nie rozżarzy, na wiečność. Dla innych wyglądałoby to tak, jakby umarł, oczywiście, ale on wciąż myślałby dalej i wciąż dalej by żył, jak Claire, jak Annais. O, Annais...

— Proszę pana, dobrze się pan czuje? — zapytała bileterka z budki.

— Gdzie — wykszusił. — Gdzie wiszą „Słoneczniki”?

— Proszę skrócić w lewo na końcu korytarza i przejść przez dwie sale. Są na końcowej ścianie w trzeciej.

Odwrócił się i ruszył zgodnie z jej wskazówkami. Ściany uciekały od niego, na zewnątrz, do środka, dryfując i kłębiąc się, miały płynny kształt, jak gdyby to one, a nie jego mózg, nie były w stanie utrzymać swojej formy. Jakby była to prawdziwa natura rzeczywistości, kiedy usunęło się pewne hamulce. Idąc szybkim krokiem na słabych nogach i w ubraniu przesiąkniętym potem, przelotnie widział cudowne ogrody, kamienne mury, uginające się drzewa, różowe kwiecie i złociste pola; płótno rozsmarowane kroplami deszczu, jak gdyby van Gogh rozpaczliwie próbował przedostać się przez barierę pomiędzy „ja” i tym innym, tę samą barierę, którą teraz przekraczał Stannis...

W trzeciej sali nie było strażnika. Podłoga ułożona była z wąskich wypolerowanych dębowych klepek, ściany zaś były niezwykle białe, owym rodzajem jaśniejszej, silnej, zapraszającej, napastliwej bieli...

I oto tam były.

Były?

Podchodził ku nim w skupieniu, trzy obrazy przedstawiające nagromadzenie słoneczników, ich środki osobliwie ogromne i niemal przyprawiające o strach, ale dzięki Bogu bez twarzy, z łodygami powyginanymi od brutalnego trzymania, świeże, prosto z pola i lśniące uwolnionym światłem.

Trzy?

Za plecami usłyszał kroki. Cholera, pomyślał, idź sobie, zostaw mnie w spokoju. Umieram. Żyję. Idę do nich, jest tylko jedna ostatnia rzecz, którą muszę tutaj zrobić... coś, nie pamiętam...

— Zdumiewające, prawda? — odezwała się Lise, o parę centymetrów od niego, z rękoma splecionymi z tyłu. — Zauważyłeś? W tamtych salach? Pewnie nie, przemknąłeś przez nie jak burza. Van Gogh tworzył liczne wersje wielu swoich obrazów. Liczne próby. To robi na mnie największe wrażenie. Przychodzę tu i oglądam je prawie zawsze, kiedy jestem w mieście; nigdy mnie nie nudzą. Tak w ogóle, to widziałam je tamtego dnia, kiedy przyплыł GULDEN, jak tylko dostałam wolne. — Zamilkła, po czym dodała: — To pomaga.

Pomaga?

Zaczął dostrzegać różnice na obrazach. Lise kontynuowała spokojnym głosem, jak gdyby nie działo się nic nadzwyczajnego.

— Zobacz, na tej tabliczce poniżej jest cytat z van Gogha.

— Zrobiła krok do przodu i odczytała małe czarne literki na przezroczystym pleksioglasie: — Mówi: „Zacząłem trzy płótna

— pierwsze, trzy ogromne słoneczniki w zielonym wazonie... Drugie, trzy kwiaty, jeden wydał już nasiona... Jeśli doprowadzę ten pomysł do końca, będzie dwanaście obrazów”. — Pochyliła się bliżej ku tabliczce. — „Śmierć jest częścią istnienia, co więcej, jest to moment pełni istnienia, moment istnienia absolutnego. (...) Van Gogh poszukiwał zwycięstwa, którego ceną było samo życie. (...) Tylko poprzez poddanie się unicestwieniu „ja” jego dzieło mogło stać się aktem egzystencjalnym, a nie aktem indywidualnym”. Jakiś krytyk — Giulio Argan — powiedział to o „Słonecznikach”.

Myśli Stannisa rozbłyскиwały niczym z jakiegoś skoncentrowanego, naładowanego energią środka.

Wiele słonecznikowych prób. Rozrzutna ludzkość. Dobrze jest próbować, zmieniać, rozwijać, ulepszać. Nasze martwe miliardy nie są martwe. Bezimienne piękne tłumy — co on powiedział? — „W końcu liczy się mnogość?” — opuściwszy tę świadomą pożywkę swego życia i dokonań, choćby nawet najbardziej świetliste, były li tylko słabymi poblaskami światła zakreślającym łuk przez życie na niemożliwie krótki czas.

Być może van Gogh walczył na brzegu oceanu, nad którym teraz były Claire i Annais. Bezkompromisowo dążąc do doskonałości, z całych sił, a potem mijając go, przechodząc na drugą stronę, sprowadzając możliwości do konkretności, zmierzając ku światłu. Więc o to chodzi, pomyślał, po prostu ich umysły były w stanie pojąć znacznie więcej jeśli chodzi o piękno, niż ja. Zaczynamy od tego, że Claire i Annais były bardziej inteligentne. Myśl i kształty czasu oraz decyzje z nim związane były dla nich zupełnie inne i bardziej rzeczywiste...

Teraz ludzie posiadają moc modyfikowania się, zmieniania komórek w celu wyeliminowania choroby. A jeżeli modyfikowane były komórki mózgowie, ten kielich myśli, jakie otwierało to możliwości? Dokąd myśl — ta nowa myśl — zaprowadzi ludzkość? Ku jasnej mnogości?

Annais i Claire zdecydowały się zawisnąć na zawsze w tym punkcie światła, gdzie życie i śmierć nie stanowiły już dychotomii. Wszystkie możliwości istniały w obrębie tego punktu, w obrębie ich czynu, na zawsze. Dla nich wybór był bez znaczenia.

I wreszcie Stannis pojął to, o czym myślały. Ale pojął to jako ścieżkę myśli, którą mógł podążać. Albo nie.

Lecz tam, na końcu, przyzywając go gestami, były Annais i Claire.

I nie miały ludzkich postaci, były tylko nieokiełznaną światłością, którą często widywał jako ich przytłaczającą ostateczną właściwość, uderzały w niego swymi sercami i umysłami, jednocząc się z nim...

One nie żyją, pomyślał. Na tym świecie są martwe. Dla mnie ich już nie ma. Z tym, że rozumiał, dokąd poszły! Naprawdę! Tam, gdzie mnożą się światy; gdzie czas naprawdę się zatrzymuje. Zdawało się, że ściany rozpuszczają się wokół niego, słoneczniki rosną, wielkie i

jasne, i niewypowiedzianie piękne, zaś on był pojedynczym impulsem komórki, pojedynczym chemicznym posłańcem po stronie, po której świeciły — słoneczniki zaś jaśniały coraz intensywniej...

Słoneczniki...

— Nie!

Okrzyk Lise przestraszył go; pociągnął go z powrotem. Chwyciła go za ramię tak mocno, że aż bolało.

Pochylił się, ciężko oddychając, nie zwracając uwagi na strażnika, który pospieszył do sali i patrzył na niego podejrzliwie.

— Spójrz — szepnęła gwałtownie, targając go za ramię. — Zobacz!

Słoneczniki. Całe mnóstwo. I...

To było to, co próbowała mu powiedzieć Claire, wtedy, pod koniec, za pomocą swojej piosenki.

Widziała tę możliwość, wiedziała, że tu przyjdzie, chociaż rozumiał teraz, jak odmiennie musiało to dla niej wyglądać, co widziała, co wiedziała i na co liczyła. Ale dokonała za niego wyboru, za pomocą swojej piosenki. Wiedziała, i powiedziała mu, że naprawdę wie. Ale dlaczego tutaj... co było tutaj?

Odwrócił się. Lise przyglądała mu się...

I wówczas zrozumiał. Po prostu wyczytał to z wyrazu jej twarzy, i potem po jakiejś nieznaczej, ledwie dostrzeżonej przyszłości, jednej przyszłości...

— Ty też je zażyłaś — powiedział.

Krótkie skinienie głową, ostrożne spojrzenie.

— Kilka lat temu, w Bangkoku.

— Dlaczego? — zapytał. — Śledziłaś mnie?

— Nie — odparła miękko. — Nie śledziłam. — Musiał wyglądać groźnie, bo dodała: — Nie martw się. Nie pracuję dla żadnego rządu. A już na pewno nie dla tego, który to stworzył, chociaż po fackie wszyscy na mnie naskoczyli, żądali danych, a ja im odmówiłam. Sama przez to przesłam, w hotelowym pokoju. — Uśmiechnęła się krzywo. — To się chyba nigdy nie kończy. Byłam bardzo dobrą wokalistką w niezbyt dobrym zespole, sądzę, że po prostu zadowoliliam się byle czym; moi rodzice szkolili mnie na śpiewaczkę operową i właśnie zginęli w wypadku samochodowym. Mieliśmy występ w hotelowym barze. Byłam głupia. Wzięłam to, bo to było wyzwanie.

— Więc dlaczego przyjechałaś do Amsterdamu?

Przez dłuższą chwilę milczała. Dwoje ludzi weszło do sali, popatrzyło na „Słoneczniki” i wyszło, zanim odpowiedziała.

— Wróciłam, bo chciałam żyć. — Oczy jej pociemniały, stały się bardziej intensywne. Objęła się ramionami i patrzyła w podłogę. — Byłam przerażona, że mogłabym... nie, albo raczej, życie było tak straszliwie odmienne. A muzyka ciągnęła mnie za daleko, za szybko. Jest jej za dużo! Jest wszędzie! Permutacje — przytłaczające! Wciąż na okrągło sieje słyszy, wiesz? Myśli się o nich, wynajduje coraz więcej, myśli się o interwałach, akordach, nutach, ich odrębności, ich możliwych kombinacjach! — Spojrzała na niego do góry, teraz w oczach miała dzikość.

— Proszę, zrozum! — powiedziała nagłym głosem.

Bał się, nieoczekiwanie bał się o nią. Wyraz jej oczu należał do Annais, a także do Claire — radosny, oślepiający, transcendentny. — Takie piękne — szepnęła Lise; strach, i coś jeszcze, sprawiły, że serce zaczęło mu bić mocniej. — Ciągnie mnie...

Złapał ją i objął.

— Powiedz, jak mam ci pomóc — krzyknął. — Powiedz mi. — Powiedz mi, tak jak Annais i Claire mi nie powiedziały, splecione w swojej wspólnej podróży, pozbywając się mnie, pozostawiając mnie samego. Zostawiając mnie z poczuciem winy i w bólu.

— To pomaga — powiedziała stłumionym głosem, więc przycisnęła ją mocniej.

Wreszcie uwolniła się i odwróciła z powrotem do obrazów. Mówiła nie patrząc na niego, jakby próbowała się uspokoić; początkowo drżał jej głos.

— Przyjechałam do Amsterdamu dla „Słoneczników” — wyjaśniła. — Przychodziliśmy tu wiele razy, kiedy byłam mała. Może miało to coś wspólnego z tęsknotą za rodzicami, nie wiem. Zaczęłam śnić o słonecznikach. Sny były intensywne. Bardzo rzeczywiste. W końcu wyglądało na to, że były wszystkim, co mogło mi pomóc, ja zaś nie byłam pewna, dlaczego. Ale wszystko inne było bezużyteczne. Odkryłam, że kiedy się na nich koncentruję, za każdym razem kiedy chcę... podążać za myślami, podążać za muzyką, mogę zostać.

Wpatrywała się w nie, jak gdyby nawet w tej chwili były jej bezwzględnie niezbędne.

— Nie mogłam już śpiewać, to było najgorsze. Wydawało się, że muzyka ciągnie mnie... Gdzieś daleko. Do miejsca niewyobrażalnego piękna, do całej muzyki klasycznej, jaMej się uczyłam, kiedy byłam dzieckiem. Gdzie mogłam być tą muzyką, i każdym nowym utworem muzycznym, każdym utworem muzycznym, jaki kiedykolwiek powstał. Gdzie mogłabym żyć wiecznie.

Jej śmiech był cierpki.

— Znalazłam sobie zwyczajną pracę, najzwyczajniejszą z możliwych, zaczęłam tu przychodzić, i czytać nocami listy van Gogha do jego brata, Theo. Śmierć przyciągała także van Gogha, chociaż postrzegał ją inaczej niż większość ludzi, tak mi się przynajmniej wydaje — dla niego była czymś w rodzaju progu, nie jestem jednak pewna, czy uważał, że istnieje cokolwiek poza nim. Ów próg był wszystkim. Te obrazy stanowią jego próbę ugruntowania się, zaistnienia poza zarówno życiem, jak i śmiercią, po prostu istnienia. Są wypełnione myślą, ale wykraczają daleko poza nią. Są pełne rozpacz. Jak ja. To trochę dziwne, naprawdę, jak wiele van Gogh myślał o tych samych rzeczach. Słonecznik był dla van Gogha zagadnieniem jego własnej egzystencji. Jego słoneczniki pomagają mi trwać, zostać.

— Więc musiałaś mnie widzieć? — zapytał Stannis. Nagle wydało mu się to bardzo ważne.

— Oczywiście — odparła. Głos miała pewny i silny. Przypomniał sobie piosenkę Claire i swoje przekonanie, że się tu z nią umówił.

Zdał sobie sprawę, że w pewnym sensie tak było. Przez krótką chwilę zdawało się, że Lise otoczona jest przez czarną przestrzeń usianą nieskończoną liczbą gwiazd.

W jakiś sposób na powrót pozna Claire i Annais poprzez Lise, chociaż nie był dokładnie pewien, w jaki sposób i co dokładnie oznaczało to silne poczucie bliskości. Z natury był powolniejszy niż którakolwiek z nich. Być może, pomyślał, to jest jego zbawienie.

To, i Lise. A potem — tylko Lise, tylko ona.

Popatrzyła na niego raz jeszcze, a możliwości poczęły mnożyć się w jej szarych oczach.

Ujął jej dłoń i wpatrywał się raz jeszcze w olśniewające słoneczniki, odpowiedź van Gogha na nieskończony próg śmierci.

Odezwała się, teraz nieco mocniejszym głosem:

— To dziwne, zdaje się, że jestem pełna światła.

Claire i Annais lśniły wokół Stannisa. Czul się tak, jakby w mgnieniu oka odbył podróż do krańców wszechświata i z powrotem. Życie pulsowało, pełne inferencji i rzeczywistości, których mógł nieomal dotknąć. Olśniewające kwiaty ściągnęły go do ich środka, poza życie, poza śmierć, aż w końcu znalazł się po prostu, całkowicie w tym miejscu.

— Zdaje się, że jestem pełen słoneczników — powiedział. Zamilkł na chwilę, szukając słów, które po chwili znalazł. — Słoneczniki potrzebują światła.
Razem odwrócili się i opuścili galerię.

przekład Emilia Księżniak i Konrad Walewski